
Nie taka Turcja

czyli wyprawa MKT na Górę Ararat i nie tylko (cz. I)



Widok na Ararat.
fot. P. Paprzycki

W połowie drogi między Erzurum i Dogubayazid, ponad 100 km od masywu Araratu, z okien autobusu zaczynamy wypatrywać naszego szczytu. Bez powodzenia. Wierzchołek pokrywają czarne, burzowe chmury. Brakuje tylko tęczy jak ta, którą Noe zobaczył po ustąpieniu wód potopu, kiedy opuścił swoją Arkę. Nasze podkorytowanie wynika nie tylko z bliskości Araratu. Minęło już blisko 24 godziny, odkąd wyjechaliśmy z dworca autobusowego w Ankarze i, pomimo klimatyzowanego wnętrza autobusu, krótkiego postoju w Erzurum oraz licznych przerw na turecką herbatę, wszyscy niecierpliwie czekają końca podróży. Dopiero w Dogubayazid otrzymujemy nagrodę za nasze trudy. Chmury ustępują i pokryty lodową czapą szczyt Araratu pojawia się wysoko na tle horyzontu. Za kilka dni wespniemy się na ten lodowiec i w huraganowym wietrze będziemy walczyć o zdobycie szczytu.



W drodze pod Ararat, fot. M. Truskowska

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI

INSTYTUT MEDYCYNY WSI

DR N. MED. PAWEŁ KRAWCZYK

KATEDRA I KLINIKA PNEUMONOLOGII, ONKOLOGII I ALERGOLOGII
UM W LUBLINIE

Po niewłaściwej stronie Turcji

Wszystko przebiegało inaczej niż podczas standardowej wycieczki do Turcji. Turcja to dość duży kraj, 800 km z północy na południe i 1500 km z zachodu na wschód, ale znowu nie przesadzajmy – to nie Rosja, żeby się o 1000 km pomylić. Przecież każdy porządny Polak wie gdzie jechać i co robić podczas urlopu. Leci czarterowym samolotem do Antalyi na Turecką Riwierę z voucherem za 2000 zł od osoby. Potem zakwaterowuje się w czterogwiazdkowym hotelu z usługą *all inclusive* i odpoczywa z chłodzącym napojem w ręku pod śródziemnomorskim słońcem, nawet bez konieczności oglądania tegoż Śródziemnego Morza. Oczywiście nie dyskredytujemy naszych turystów; większość będzie miała ambicję obejrzeć kraj swego wypoczynku. Oprócz południowego wybrzeża mogą też odwiedzić Turcję Egejską ze słynnymi starożytnymi ruinami Efezu, Pergamonu i Troi, czy europejską Turcję ze Stambułem. Wytrwaliś pewnie pojedą na fakultatywne wycieczki do wapiennych tarasów Pamukkale lub nawet odżałują dwa dni na podróż do skalnych miast Kapadocji.

A w Medycznym Klubie Turystycznym, oczywiście wszystko na odwrót – zamiast na południe i zachód postanowiliśmy pojechać na wschód i północ Turcji.

Członków MKT w roku 2010 czekała kolejna wyprawa w egzotyczne góry wysokie. W 2006 roku sukcesem zakończyła się wspinaczka na Aconcagua – najwyższy szczyt obu Ameryk. W 2008 roku eksplorowaliśmy nieznane Himalaje Lahul, docierając w rejon działalności lubelskiej wyprawy w Himalaje z 1973 roku. W 35-tą rocznicę śmierci Zbigniewa Stepka – kierownika tamtej wyprawy i Andrzeja Grzązka, uczciliśmy ich pamięć przy symbolicznej mogile nad brzegiem Rzeki Księżycowej. Dyskusja wśród klubowych pasjonatów gór nad celem nowej wyprawy rozpoczęła się jeszcze w 2009 roku. Wspólnie z Uniwersytetem Medycznym planowaliśmy zorganizować wyprawę naukowo-sportową w góry Mongolii – w rejon Charchiry, gdzie znajdują się szczyty zdobyte po raz pierwszy przez lubelską wyprawę w 1967 roku. Niestety, zwłoka w załatwieniu formalności w Ułan Bator przekreśliła nasze plany.

Wobec braku realnego pomysłu MKT na transkontynentalne górskie atrakcje w Andach czy Himalajach, szybka kwerenda po bliskich Polsce 5-tysięcznych szczytach wskazała jednoznacznie na Ararat.

Ararat (turecki Agri Dagi) jest szczytem wznoszącym się samotnie na wysokość 5165 m n.p.m. na terytorium Turcji. Jest oddalony 35 km od granicy z Armenią i 15 km od granicy irańskiej. Wierzchołek pokrywa wieczny śnieg i kilka skromnych lodowców. Wielki Ararat i sąsiadujący z nim, znacznie niższy Mały Ararat, są drzemiącymi wulkanami, choć nie ma udokumentowanych opisów wybuchu. Ostatnia erupcja miała miejsce prawdopodobnie 3-4 tysiące lat p.n.e. Jednak rejon ten jest nadal bardzo aktywny sejsmicznie, o czym świadczą wielkie trzęsienie ziemi

z roku 1840, które zniszczyło wznoszący się u podnóża góry klasztor św. Jakuba, a wielki obryw skalny będący jego następstwem pogrzebał wioskę Akori. Ararat zachował typowy wygląd i budowę geologiczną stratowulkanu. Łagodne u podnóża stoki wznoszą się stromo do wierzchołka, powodując, że Ararat jest jedną z wyższych samotnych gór na świecie, przewyższającą sąsiednie doliny o ponad 3600 m. Sam krater uległ już całkowitej erozji, ale dawne erupcje lawy znaczą bazaltowymi rzekami zbocza góry i sięgają głęboko w doliny. To musi być ciekawe. Dochodzi do tego jeszcze niejasna sytuacja polityczna okolic Araratu związana z grasującymi tam kurdyjskimi partyzantami, na tyle jednak stabilna, aby z odpowiednim dreszczykiem emocji w ogóle dało się tam przebywać.

Nietypowy cel podróży to poważne problemy logistyczne. O kwestii polityki i pozwoleń na szczyt opowiemy w odpowiednim miejscu. Na razie jednak problemem stał się sposób podróży. Niemożliwe było skorzystanie z regularnych lotów czarterowych, bo jedyne biuro podróży z Polski urządza tylko jedną wycieczkę objazdową po wschodniej Turcji i tylko raz w roku. Wycieczkę tą spotkaliśmy zresztą nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności pod samą górą i byli to jedyni spotkani przez nas Polacy. Ostatecznie, jak zwykle w naszych wojażach, skończyło się na podróży związanej samolotem Lufthansy przez Monachium do Ankary a dalej autobusem na wschód Turcji.

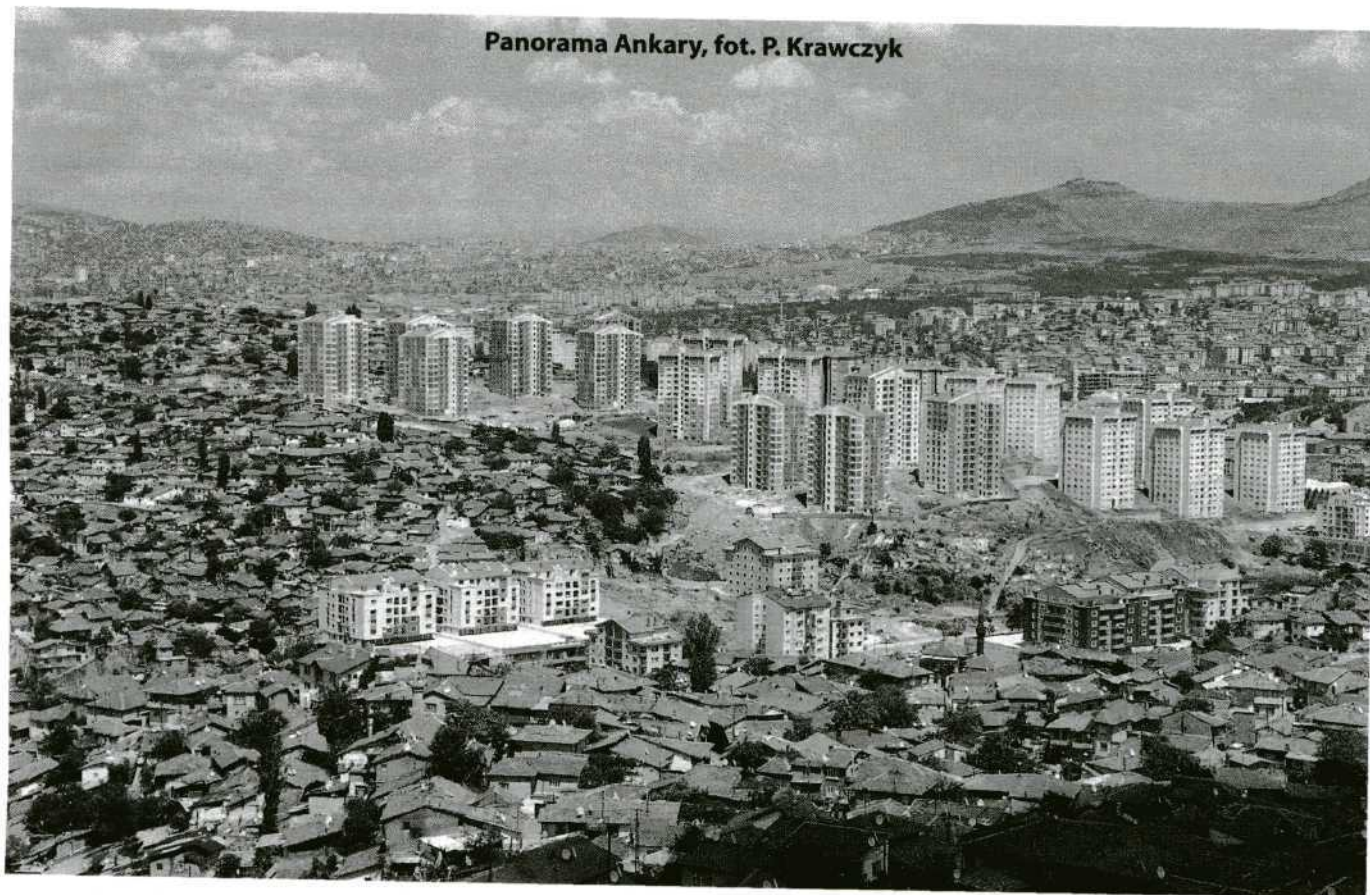
Na wyżynach Anatolii

Łądujemy na lotnisku Esenboga w Ankarze – piątka członków Medycznego Klubu Turystycznego: Małgorzata Truskowska, Michał Drożdż, Paweł Krawczyk, Mariusz Nowak oraz Piotr Paprzycki. W dro-

dze do górskiej przygody znajdujemy się na peryferiach wielkiego stołecznego miasta, do którego z racji oddalenia od popularnych kurortów rzadko trafiają turyści. A szkoda, bo to kwintesencja współczesnej Turcji – bardziej turecka i zarazem europejska niż stary Istambuł. Aby Ankara stała się 4,5-milionową metropolią, stolicą demokratycznego 70-milionowego państwa, w 30-tysięcznej zapadłej mieścinie, żyjącej starożytną tradycją, musiał urządzić swój sztab i siedzibę w roku 1920 pewien ambitny turecki wojskowy – Mustafa Kemal. Trwała jeszcze I Wojna Światowa, kiedy po obaleniu sułtana, reżim młodych nacjonalistycznych polityków nierozważnie związał Turcję – byłego „chorego człowieka Europy” – sojuszem z przegranymi Niemcami. Zwycięzcy – zachodni Alianci, potraktowali Turków obcowsko i najpierw zajęli strategiczne terytoria europejskie ze starą stolicą i cieśninami czarnomorskimi, a potem dokonali formalnego rozbioru kraju między Grecję, Armenię, Kurdów i siebie samych.

Ankara pozostawała w centrum nieokupowanych jeszcze ziem i stała się dobrą bazą dla armii tureckiej pod wodzą Mustafy Kemala, byłego masona i nowoczesnego nacjonalisty. W ciągu kilku lat nacjonaści naprawili swoje błędy: rozbili nacierających Greków; w sojuszu z Rosją Sowiecką wyeliminowali Armenię; poróżnili Aliantów, by ostatecznie uratować swój kraj w całkiem rozległych granicach. Nic więc dziwnego, że Turcy uczynili Mustafę dożywotnim prezydentem nowej świeckiej republiki i nadali mu tytuł Ojca Turków – Atatürka. Dyktatura Atatürka nie była reżimem zbyt dotkliwym – przypominała nieco twardszą wersję polskiej sanacji. Tak jak w Polsce Piłsudski, Mustafa Kemal ciągle odbiera cześć jako postać nieco nadludzka. Zaświadcza o tym gigantyczne, piaskowcowe mauzoleum (wyraźnie nawiązujące do podobnego na Placu

Panorama Ankary, fot. P. Krawczyk



Czerwonym), którego niestety nie mogliśmy zwiedzić. Za to podziwialiśmy na centralnym placu miasta Ulus Meydani, jak i w większości tureckich miast i miasteczek, wielki pomnik konny Mustafy Kemala z dwoma pieszymi żołnierzami w poniemieckich mundurach.

Pierwsze wrażenie z nocnej Ankary to rozrzucone po ulicach reklamówki agencji towarzyskich. Drugie poranne wrażenie to 30-stopniowy upał i dobrze utrzymane trawniki w reprezentacyjnym centrum. Niestety, nadzieja kontynuowania podróży na wschód natychmiast okazuje się płonna z powodu zamknięcia linii kolejowej do Erzurum. Dzisiaj nie wyjedziemy. Maszerujemy więc przez miasto na dworzec autobusowy, który zadziwił nas swoją wielkością i sprawną organizacją. Niektóre stolice państw europejskich mają mniejsze lotniska niż ankarski terminal: półkilometrowa hala główna, trzy poziomy peronów

na estakadach, przy wjeździe prawdziwa wieża kontroli ruchu. Mimo ponad 70-ciu operatorów linii autobusowych (przy jeszcze większej liczbie kas), znalezienie odpowiedniego połączenia jest banalnie proste. Łatwo skorzystać z oficjalnej informacji, a mnóstwo naganiaczy nieustannie penetruje dworzec w poszukiwaniu potencjalnych klientów i wykrzykuje nazwy docelowych miast. My połączenie mamy dopiero wieczorem i zostaje czas na zwiedzanie miasta.

Szybko stajemy przed jego bogatą historią. Najpierw przechodzimy obok kolumny cesarza Juliana Apostaty zwieńczonej starym bocianim gniazdem. Kolumna jest nieco sfałtgowana, ale ewenementem jest już to, że się zachowała. Ankarczyści postawili ją władcy z wdzięczności za jego niechęć do triumfującego chrześcijaństwa i wspieranie pogańskich kultów. W jaki więc sposób uszła uwadze bizantyjskich bisku-

pów? Obok kolumny wspinamy się na wzgórze zwieńczone najstarszymi zabytkami Ankary, między innymi ruinami świątyni Augusta i Romy, w której jest jeden z najcenniejszych pomników rzymskiego antyku.

Monumentum ancyranum – nazwa znana każdemu miłośnikowi historii starożytnej – to długi tekst pokrywający ściany. Jest to jedna z najlepiej zachowanych kopii „Czynów Boskiego Augusta” wyryta w czasach, kiedy Ankara nazywała się jeszcze Ancyra. Dzieło to cesarz August zredagował osobiście i wszyscy historycy wczesnego imperium, a nawet scenarzyści kasowego serialu „Rzym”, muszą się na nim oprzeć. Niestety, świątynia, która wytrzymała najpierw przeróbkę na kościół, a potem na szkołę koraniczną, wymaga remontu i napis nie jest dostępny. Trochę zawiedzeni pośród nawoływań muezzina, dochodzącego z wielkiego namiotu-meczetu obok świątyni, wyznaczaliśmy sobie

inny cel. Po drugiej stronie doliny mamił nas obietnicą wspaniałego widoku na miasto zamek (Hisar), wzniesiony na skalistym wzgórzu przez Bizantyjczyków i Seldżuków. Obietnica był prawdziwa. Panorama spod wieży Akkale i z zachowanych murów twierdzy daje wreszcie sposobność objęcia wzrokiem całej stolicy, aż po horyzont. Z jednej strony oglądamy uciekające w dół urwisko i wzgórze zabudowane na dziko domkami biedoty, gdzie spomiędzy wielkich śmietnisk wyrastają małe meczetki. Z drugiej podziwiamy dzielnice wielopiętrowych mieszkaniowych punktowców, a tuż pod stopami mozaikę czerwonych dachów samego Hisar. Wokół biegają dzieci po przepaścistej koronie murów, puszczając latawca, w sposób, który każdą matkę przyprawiałby o palpację serca.

Syci widoków, ale spragnieni cienia, schodzimy na nizinę. Bez trudu właściciel pewnej miłej restauracji zwabia nas do spowitego dzikim winem wnętrza. Nie mogło się obejść bez zapoznania z prawdziwym kebabem z kurczaka i wyśmienitymi zakąskami – och, rozkosze aktywnych wakacji, kiedy człowiek nie musi liczyć kalorii, bo i tak wszystko zużyje!

U podnóża zamku czeka na nas jeszcze jeden punkt programu –

Muzeum Cywilizacji Anatolijskich (MAC). Mało jest okolic na świecie, które mogłyby się pochwalić nieprzerwanym istnieniem cywilizacji ludzkiej od 10 tysięcy lat. Anatolia, czyli półwysep Azji Mniejszej jest jedną z takich krain, a MAC urządzony w dawnym budynku osmańskiego targowiska to prawdziwy skarbiec archeologicznych zapisów tej cywilizacji. Podziwiać tu możemy pieczołowicie zrekonstruowaną świątynię ze słynnego na całym świecie osiedla Çatalhöyük. Jego twórcy – jako jedni z pierwszych na Ziemi – zaczęli uprawiać rośliny i lepić gliniane garnki. Podobno ludzie ci żyli w matriarchacie. Kapłanki ubrane w stroje sępów, po spełnieniu przez mężczyzn seksualnych obowiązków, miały składać ich – już niepotrzebnych – w ofierze Bogini Wielkiej Matce. Ściany muzeum zdobi wiele pięknych płaskorzeźb pozostałych po narodzie Hetytów, którzy w XVIII wieku p.n.e. stworzyli w dzisiejszej Turcji mocarstwo tak potężne, że w bitwie pod syryjskim Kadesz faraon Ramzes Wielki ledwo wymógł z nimi remis. Warto też wspomnieć o rekonstrukcji grobu mitycznego króla Frygów – Midasa (ten, któremu wszystko przemieniało się w złoto i miał ośle uszy) oraz o wspaniałej starożytnej

złotej biżuterii i o naczyniach z brązu z Alacahöyük, liczących ponad 4 tysiące lat. Oglądając takie miejsca, można czasem ze zdziwieniem stwierdzić, że musiało się chyba opuścić niektóre lekcje historii, bo nic nie wie się o istnieniu takich potężnych ludów.

Nieuchronnie przyszło opuścić Ankarę z całkiem dobrymi wrażeniami i wyruszyć w nocną podróż po anatolijskich wyżynach. Stolica Turcji leży na wysokości Zakopanego, a całe wnętrze półwyspu Azji Mniejszej to same góry, w tym wiele szczytów 3-tysięcznych. Ruchy górotwórcze, które wydzwignęły Anatolię z dna nieistniejącego już oceanu, spowodowały tak wielką aktywność wulkaniczną, że jeszcze 3 miliony lat temu wyrzucony popiół wulkaniczny pokrywał wyżynę warstwami o grubości kilkuset metrów. To właśnie w tym wulkanicznym tufie wiatr i woda wyrzeźbiły słynne nieziemskie kapadockie skalne miasta. Za oknem autobusu rozciągają się wciąż niższe lub wyższe grzbiety górskie, niemal bezleśne, za to niektóre z obfitymi polami śniegu, mimo że przecież to środek upalnego lata.

Czasem szosa zjeżdża na większą śródgórską równinę, zwykle przez przepaściste skalne wąwozy, wyłobione przez dziwnie nikłe rzeki. Wtedy góry oddalają się nieco. Pastwiska i wzgórza, posiekane owczymi ścieżkami niczym mapy poziomiami, ustępują miejsca polom uprawnym i sadom. Przy szosie pojawiają się dziesiątki wielkich straganów z arbusami, których sprzedawcy nie opuszczają nawet w nocy i próbują nie przegapić żadnej okazji do zarobku, przysypiając przy świetle lampy.

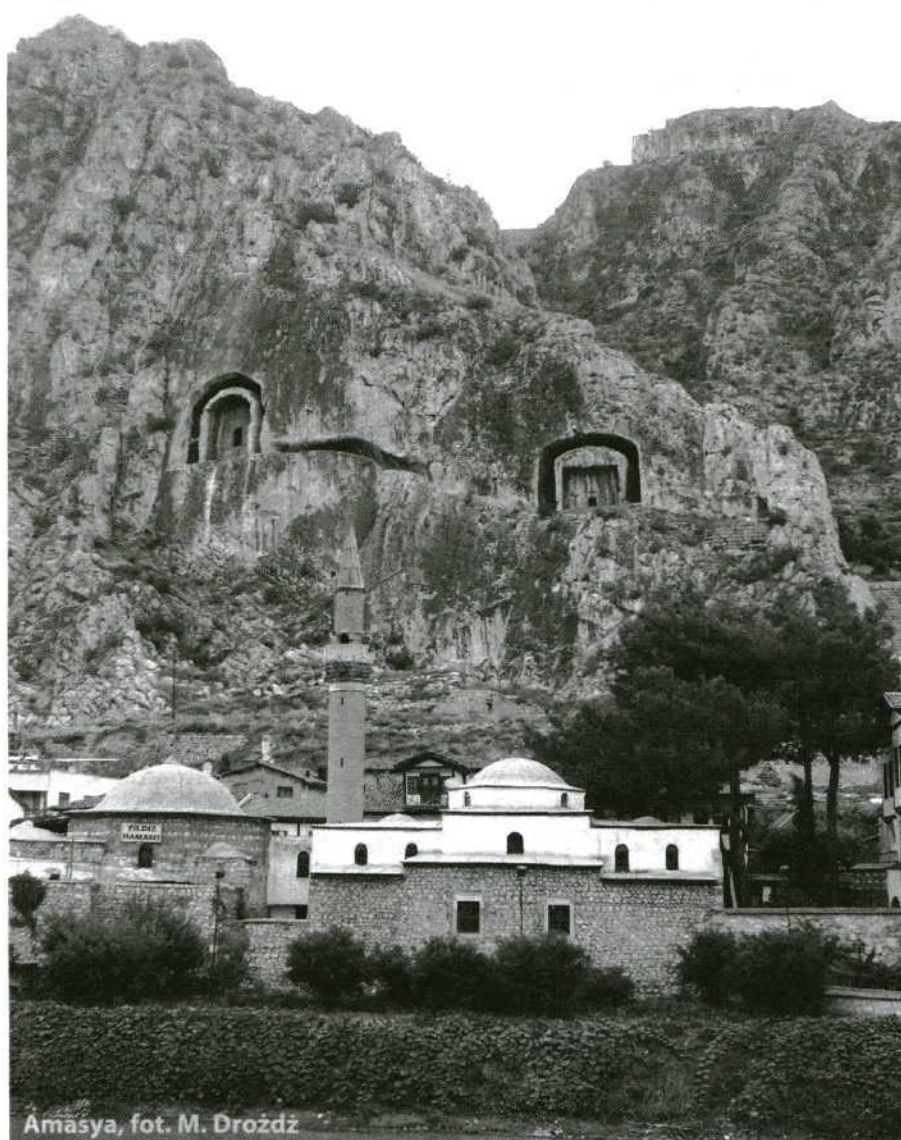
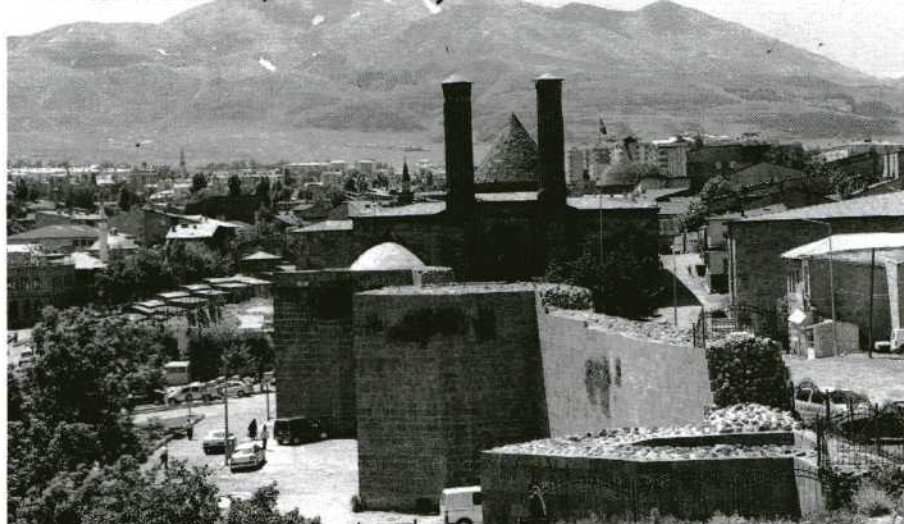
To właśnie takie kotliny od tysięcy lat przyciągały ludzi do tej zdawałoby się pustynnej i suchej krainy. Umożliwiały one kupcom wędrowni z towarem między Azją a Europą, dawały dochód, z którego żyły przez setki lat wielkie państwa

**Kurdyjskie dzieci
u stóp Araratu,
fot. M. Nowak**



i ich poddani. Niestety, także dzięki tym kotlinom, zwabieni bogactwem najeźdźcy mogli wtargnąć w głąb Anatolii. Zwykle bardzo szybko prymitywniejsi przybysze przyswajali sobie lokalne obyczaje, przekazując miejscowym język i państwowo-twórcze zdolności oraz tworząc na gruzach starych cywilizacji nowe monarchie. Tak przez wieki najeżdżana ze wschodu i zachodu Anatolia trwała nadal i kwitła. Źródłem dzikich najeźdźców najczęściej był euroazjatycki Wielki Step, gdzie pasterska gospodarka, mocno wrażliwa na pogodowe anomalie,

Medresa w Erzurum, fot. P. Krawczyk



Amasya, fot. M. Drożdż

kreowała nowe fale wygłodniałych i żądnych grabieży narodów.

Pierwszym znanym historii ludem najeźdźczym byli właśnie wspomniani Hetyci. Z kolei ich imperium rozpadło się po najeździe grabieżców z terenów Bułgarii, Grecji i Italii zwanych Ludami Morza. Za nimi z Europy wtargnęli Frygowie, ale zanim ich państwo okrzepło, ze wschodu przybyli Kimeriowie (prawdziwi, nie ci z Conana Barbarzyńcy). Kiedy z zamętu wyłoniło się Państwo Lidyjskie (to właśnie, którym rządził bajecznie bogaty Krezus), zostało ono zmiecione przez Persów. Tych z kolei wyparł Aleksander Macedoński, a państwa jego następców zagarnął Rzym. Rzymska (a potem bizantyjska) władza dzielnie trzymała Anatolię przez ponad tysiąc lat, aż do pamiętnego 1071 roku, gdy na równinie pod Manzikertem cesarz Roman IV Diogenes stanął ze swoim wojskiem naprzeciwko armii nowych rozjuszonych zdobywców. Tym razem byli to wyrojeni z głębi Azji Środkowej Turcy Seldżuccy pod wodzą Arp Arslana (czy nie podobnie nazywał się pewien gadający lew z poczytnej powieści i nie mniej popularnego filmu?), którzy już zdążyli ograbić Iran, Bagdad i Indie. Bizantyjczycy oddali pola, cesarz popadł



Ataturk na głównym placu Ankary, fot. P. Paprzycki

w niewolę, Konstantynopol utracił większość ziem.

Z pokrótce przedstawionej historii wynika, dlaczego miasto, do którego dojechalśmy następnego dnia, nazywa się do dzisiaj Erzurum (zamek Rzymian). Miasto leży dość wysoko i w zimie jest tu sporo śniegu i nawet w tym roku ma odbyć się tutaj zimowa uniwersjada – o przygotowaniach zaświadcza nieco surrealistyczna przy tym upale skocznia narciarska. Erzurum nie jest zbyt piękne, bo większość starej zabudowy zrujnowały wielkie trzęsienia ziemi. Zostały tylko: bizantyjski zamek, dwa meczety oraz medresa z bliźniaczymi utraconymi minaretami. Początkowo, nauczani doświadczeniem z innych krajów muzułmańskich, dość nieśmiało zachodziliśmy do meczetów, gdzie Europejczyków spotykają rozliczne ograniczenia. Turcja jest wybitnym wyjątkiem – nie tylko nie oburza nikogo wchodzenie do świątyni w krótkich spodniach, ale nawet wpuszczane są do środka dość swobodnie, jak na muzułmańskie gusta, ubrane kobiety. Teraz już odważniej penetrowaliśmy wnętrza, bo zawsze

warto obejrzeć budowle mające po 700 i więcej lat, a Medresa Podwójnego Minaretu ma ten tajemniczy nastrój wiekowej ruiny. Architekturę wznoszoną przez Seldżuków łatwo rozpoznać po misternych „stalaktytowych” portalach, które nieco przypominają stiukowe sklepienia z odległych świątyń Hiszpanii i Maroka.

Ararat, góra wojen i niezgody

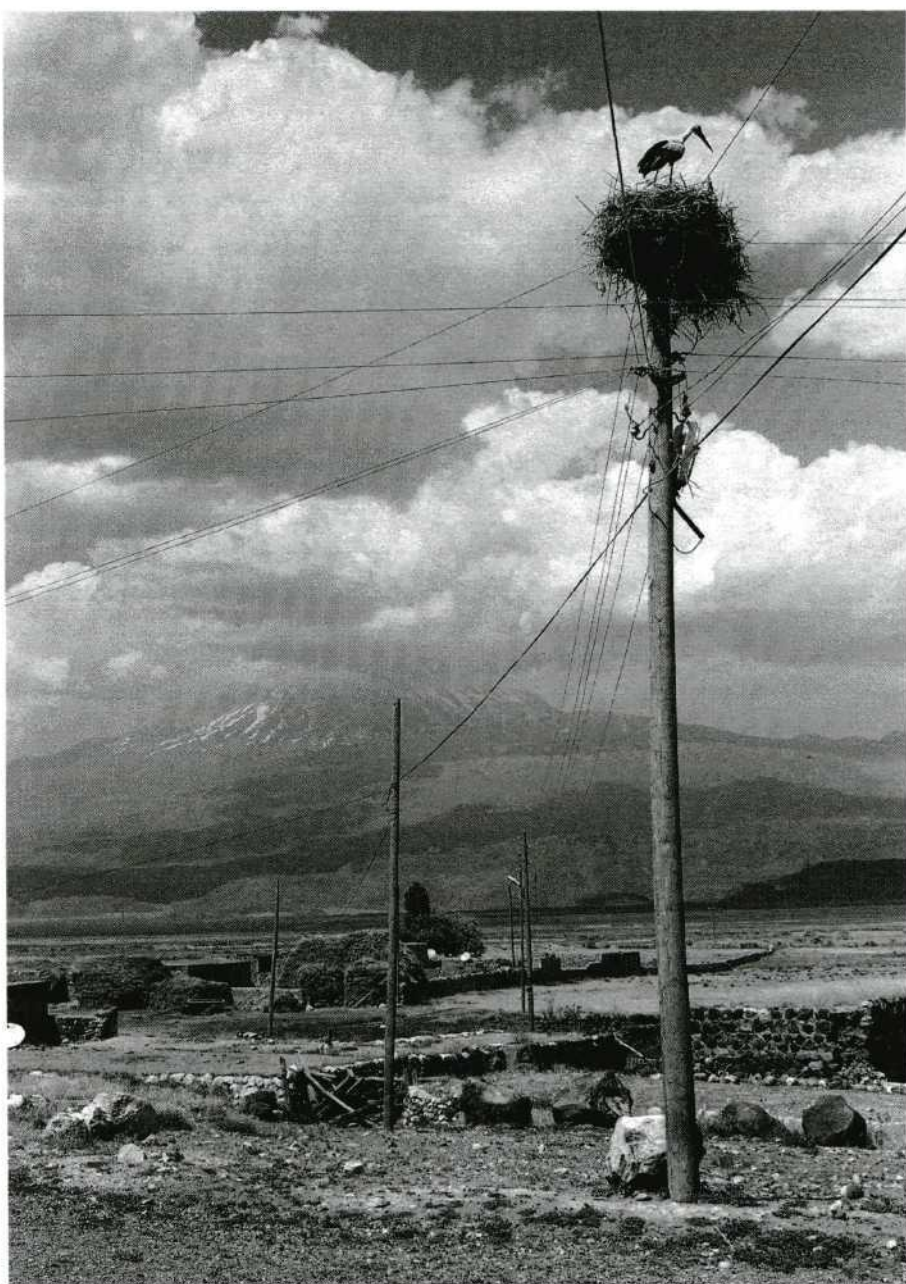
Równina, z której wyrasta zaśnieżony Ararat, to część Wyżyny Armenijskiej. Ziemia ta od tysięcy lat należała do Ormian. Niedaleko stąd, nad jeziorem Van znajdowała się stolica Państwa Urartu (zbieżność nazw z Araratem nieprzypadkowa), sięgającego od gór Kaukazu aż po Syrię. Państwo Urartu w VI wieku p.n.e. zniszczyli najeźdźcy z Azji – Medowie. W nich historycy upatrują przodków dzisiejszych Kurdów. Jednak królestwa armeńskie nadal trwały. Coraz podbijane lub hołdowane przez Rzym, Partów, Persów, Bizantyjczyków, Arabów czy Mongołów, miały w starożytności i w średniowieczu dłuższe epizody

niepodległości. Ormianie pamiętają małe armeńskie imperium między trzema morzami: Kaspijskim, Czarnym i Śródziemnym za Tigranesa Wielkiego, czy też Państwo Bagratydów z X-XI wieku. Okolice Araratu to sam środek tych królestw. W pobliskiej Tigranocercie i w Ani zakładano świetne stolice, wyrastały pałace, świątynie, a potem wspaniałe chrześcijańskie kościoły i klasztory. Turcy przyczynili się do ostatecznego podziału Armenii między Sułtana i Szacha Perskiego. Pod wodzą nacjonalistów pogrzebali ostateczne szanse na odrodzenie Wielkiej Armenii po I Wojnie Światowej. Stało się to w wyniku wysiedlenia i eksterminacji Ormian, określanych pierwszym ludobójstwem w dziejach świata. Ormianie, zgrzytając zębami zza szczelnie zamkniętej granicy, do dziś tęsknie spoglądają na swoją górę Masis i nie mogą przeboleć, że ktoś nazywa ją teraz Agri Dagi. Uważają Ararat za świętą górę, a zdobycie jego szczytu za świętokradztwo. Wierzchołek Araratu nie tylko widoczny jest z Erewania, ale także widnieje w oficjalnym herbie Armenii. Ale historia lubi być złośliwa, na opustoszałe ziemie zamiast Turków przybyli Kurdowie i zamiast problemu ormiańskiego, Turcja ma problem kurdyjski.

Dzisiaj właśnie Kurdowie, naród bez państwa mówiący indo-europejskim językiem, najliczniej zamieszkują rejon Araratu. Autonomii Kurdom odmawia nie tylko Turcja, gdzie jest ich ponad 10 milionów, ale też Iran, a do niedawna także Irak (obecnie prezydentem tego kraju jest Kurd – Dżalal Tala-bani). Chociaż sytuacja polityczna we Wschodniej Anatolii uległa w ostatnich latach normalizacji, a liczba zamachów terrorystycznych przeprowadzanych przez Partię Pracujących Kurdystanu znacznie zmalała po aresztowaniu jej przywódcy Abdullacha Ocalana, cały ten obszar jest nadal strefą zmilitaryzowaną.

Pierwszą styczność z tureckim wojskiem mieliśmy jeszcze podczas podróży autobusem. Zatrzymali nas żołnierze z ciężką bronią i granatnikami, jak przystało na przedstawicieli władzy, pieczołowicie celebrujący zbieranie paszportów, które nie wiadomo po co znikają w betonowym bunkrze. Była to rutynowa kontrola paszportów wszystkich podróżnych, ale nawet taka mogła już skutecznie odstraszyć nas od próby zdobycia Araratu na własną rękę. Jednak, znając sytuację polityczną we wschodniej Turcji, jeszcze w Polsce przystąpiliśmy do załatwiania wszystkich formalności. Nie było to bardzo skomplikowane. Nawiązaliśmy kontakt z polecanymi w internecie braćmi – Muratem i Saimem Sahin, którzy prowadzą w Dogubayazid agencję Murat Camping. Po przesłaniu naszych danych drogą mailową, wszystkie pozwolenia bracia załatwili dwa miesiące przed naszym przybyciem do Turcji. Nie widzieliśmy wprawdzie tych pozwoleń na własne oczy, ale renoma, którą cieszy się Murat Camping pozwalała przypuszczać, że bracia mieli wystarczające kontakty z turecką armią, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo i umożliwić zdobycie Araratu. Początkowo niepokoił nas tylko fakt, że bracia, jak i cała ich rodzina zatrudniona w turystycznym biznesie, byli Kurdami. Okazało się jednak, że mimo prześladowań Kurdów przez turecką mniejszość, nasi opiekunowie radzili sobie całkiem nieźle w tej rzeczywistości. Murat Camping zapewnił nam także namioty w obozach górskich, transport bagażu na koniach i jedzenie, a wszystko to za 350 dolarów od osoby. Murat stał się naszym przewodnikiem górskim i nie opuścił nas aż do samego szczytu.

Dogubayazid jest brzydkie. Z rozkopanymi ulicami, niedokończonymi szkielecikami domów i powszechnym bałaganem wygląda jakby było w permanentnym remoncie. Trzy



Bocianie gniazdo z Araratem w tle, fot. P. Krawczyk

powody mogą skłonić do przybycia do miasta: podróż do Iranu, wspinaczka na Ararat albo zjawiskowy pałac Ishaka Pashy. Szczęście się do nas uśmiecha i gdy wysiadamy w Dogubayazid nie tylko odsłania się widok na Ararat, ale też przypadkiem pojawia się zdezelowany landrover należący do Murat Camping z kierowcą o imieniu Musa, który stanie się naszym kucharzem podczas całej wyprawy. Jedziemy drogą obok koszar pełnych czoł-

gów i wozów opancerzonych, a potem wspinamy się serpentynami do podnóża pałacu Ishak Paszy, gdzie zlokalizowany jest Murat Camping. Z załatwieniem formalności musimy poczekać do zakończenia ćwierćfinałowego meczu Mundialu, ale potem szybko pieniądze przechodzą z rąk do rąk i nie musimy martwić się już o żadne dokumenty. Jaka to ulga w porównaniu do wypraw w inne rejony świata...



Domniemana Arka Noego – formacja Durupinar, fot. M. Drożdż

Ilu Turków mieszka w Dogubayezit? – pytamy Saima przy miłej pogawędce – I kim oni są?

Ilu? Trochę. To armia, żołnierze. Inni mieszkańcy to Kurdowie. – Wiecie – kontynuuje Saim – tu po górach dużo wojska i dużo partyzantów. Guerilla. Ale nikt nie wie, kto jest w Partii Pracujących, Kurdystanu. Może on... – tu wskazuje znacząco na nieco zdziwionego Musę. – A może ja? – robi przy tym konfidenccjonalną minę. A my nie wiemy, czy żartuje, czy stara się przydać sobie znaczenia, czy może mówi prawdę...

Przynależność Saima do PPK wydaje się nieco niewiarygodna w kontekście prowadzenia przez nich interesu w przygranicznej strefie całkowicie kontrolowanej przez

turecką armię. Partia Pracujących Kurdystanu to dla Kurdów nie tylko napadający na tureckich żołnierzy partyzanci, ale też coś w rodzaju podziemnego rządu Kurdystanu. Jej wpływy, przynajmniej te deklarowane przez Kurdów, są dość rozległe i sięgają nieoczekiwanych dziedzin życia, jak na przykład turystyka górska. Wprawdzie turecki rząd próbuje uregulować ruch wspinaczkowy na Araracie za pomocą swojego Klubu Wysokogórskiego i niepotrzebnych wiz alpinistycznych, które można otrzymać za wysoką opłatą w Ambasadzie Tureckiej w Warszawie, ale tak naprawdę to miejscowi Kurdowie, pasterze, przewodnicy, poganiacze koni i właściciele biur turystycznych decydują, kto wejdzie na górę za wiedzą czy bez wiedzy

władz tureckich. Przecież – wszyscy tu jesteśmy Kurdami – mówi z dumą Jakub – obsługujący nas chłopak zatrudniony do pomocy Musy i Murata.

Tymczasem na skałach nad kempingiem kusi Pałac Ishaka Paszy. Korzystając z ostatnich promieni słońca, wspinamy się na urwiska fortecy na sesję fotograficzną. Pałac od XVII wieku wznosił pewien miejscowy kurdyjski emir Colak Abdi Pasha ze swoim synem Ishakiem Pashą. Turcja sułtańska miała lepsze sposoby na rozwiązywanie problemu kurdyjskiego niż dzisiejsza Republika i pozwalała na pokojowe współistnienie obu narodów. Budowniczy przez stulecie mieszał style seldżuckie, perskie czy ormiańskie i stworzyli prawdziwy pałacyk

z tysiąca i jednej nocy. Dla władców Turcji osmańskiej był to ważny ośrodek administracji wschodniej Anatolii. Osiedle na stokach wokół romantycznej górskiej twierdzy-saraju nazwano na cześć sułtana Bajazyda II. Dziś, po opuszczeniu i po latach użytkowania przez wojskowych, to jedynie zabezpieczona, trwała ruina. Piękne pozłacane drzwi od głównej bramy, skradzione podczas okupacji rosyjskiej na początku XX wieku, można zobaczyć w petersburskim Ermitażu. Czemu nas to nie zdziwiło?

W różowym świetle wieczoru pałac i okolica rzeczywiście wydają się jakby nierealne. Zawieszona nad dolinami forteca, a pod nią zarastające od niemal wieku ruiny wsi Eski (Stare) Bayazit powoli pogrążały się w mroku. Ciemność i cisza zasiedlały rozwalone domki bez dachów, nieczytelną już płataninę uliczek, ułomek starego meczeciku ze smętym cmentarzykiem oraz położone na przeciwnym urwistym stoku ruiny twierdzy urartyjskiej. Po wielkim i nieudanym kurdyjskim powstaniu w latach 30-tych ubiegłego wieku Republika Turecka wygnała stąd ludzi na równinę, gdzie na siatce prostokątnych ulic zbudowano brzydkie Dogu (Wschodnie) Bayazit.

W drodze na szczyt

Następny dzień budzi nas piękną pogodą. Słońce nie zajdzie za chmury przez najbliższe trzy dni, co jest nietypowe dla rejonu Araratu. Wyniosłość góry sprawia, że skupia na sobie deszczowe chmury i dni bez opadów deszczu albo śniegu należą do rzadkości. Stłoczeni w kabinie landrovera wyruszamy na zakupy do Dogubayazid, a potem drogą w kierunku irańskiej granicy i dalej szutrową dróżką, która prowadzi do kurdyjskich wiosek u podnóża Araratu. Saim dokonuje cudów,

żeby dojechać do wysoko położonych namiotów pasterzy, należących oczywiście do rodziny naszych przewodników i kucharza. Landrover podskakuje na wystających kamieniach, koła osuwają się w korytach potoków, a silnik dla ochłody trzeba polewać wodą. Za to miejsce, do którego docieramy jest już blisko obozu I. Natychmiast otaczają nas dzieci. Przyzwyczajone do turystów, pozwalają się fotografować, nie naciągając nas zbytnio na prezenty. W tym czasie bagaż wyprawy ładuje na grzbiecie koni, a my z lekkimi plecakami wyruszamy wśród zielonych i kwitnących łąk wygodną ścieżką. Po chwili zatrzymujemy się na herbatę w kurdyjskim namiocie. Tak komfortowo jeszcze nie zdobyliśmy żadnej góry, chociaż Gośka zaczyna odczuwać wysokość. Jedyna z naszego zespołu nie ma doświadczenia wysokogórskiego i teraz chyba za bardzo forsuje tempo. Mimo to, w dobrych humorach i w krótkim czasie docieramy do obozu pierwszego, położonego na wysokości 3400 m n.p.m. nad potokami z topniejącego śniegu i u podnóża rozległych piarżysk, które wyżej przechodzą w pola śnieżne. Rozbijamy namioty i siadamy do pierwszego posiłku przygotowanego przez Musę. Mariusz, Michał i Paweł zaliczają też krótki rekonesans, zapuszczając się w czarne bazaltowe piargi do wysokogórskich, ukwieconych łąk położonych nad lodowcowymi rzeczkami.

Do naszej ekipy dołączyli, w charakterze uczestników wyprawy, dwaj Kurdowie, w tym Nuri – kurdyjski fotograf i pieśniarz ze swoim kolegą. Widoczną estymą cieszy się u wszystkich Murat. Dlatego też udaje się nam przeżyć niezapomniany wieczór. Po zachodzie słońca kurdyjscy przewodnicy z innych grup, poganiacze koni i pasterze zbierający za opłatą śmieci w rejonie Araratu dołączają do nas. Muzyka początkowo pochodzi

z odtwarzacza mp3, ale później nasi przyjaciele sami śpiewają kurdyjskie pieśni. Pod rozgwieżdżonym niebem zaczynamy tańczyć w korowodzie prowadzonym przez mężczyznę wymachującego białą chustką. Wszyscy trzymają się za ręce tylko małymi palcami. Choć to taniec mężczyzn, w tej wyjątkowej sytuacji nawet Gośka ma prawo wziąć w nim udział.

Rano konie z bagażem wyruszają chwilę po nas. Wspinamy się stromym piargiem pomiędzy płatami śniegu. Tempo jest jak najwolniejsze z uwagi na konieczność przeprowadzenia aklimatyzacji. Po chwili końska karawana mija nas. Zwierzęta pewnie stąpają po ruchomych głazach wąskiej ścieżki. Niespodziewanie wspinaczka okazuje się łatwa i krótka. Już po 5 godzinach rozbijamy namioty na platformach ograniczonych skalnymi murkami w obozie II na wysokości 4 200 m n.p.m. Obóz znajduje się jak w orlim gnieździe na zakończeniu skalnej grzędy, tuż poniżej granicy wiecznego śniegu. Pozostałe wyprawy właśnie go opuszczają i zostajemy zupełnie sami zawieszeni wysoko ponad zamglonymi dolinami. Zaczyna się niesamowity, prawie zaczarowany, cichy, spokojny i ciepły wieczór. Mariusz i Gośka sprawdzają raki – będzie to dla nich lodowcowy chrzest. Murat wychodzi powyżej obozu, żeby ocenić warunki śniegowe. Ararat widoczny jest jak na dłoni, aż szkoda, że nie jesteśmy już dzisiaj w okolicy wierchołka. Gotujemy herbatę, jemy „na zapas”. Jutro atak na szczyt.

O godzinie drugiej nad ranem wszyscy jesteśmy na nogach. Kolejna pozytywna niespodzianka. Jest bardzo ciepło i bezwietrznie. Zaledwie jeden lub dwa stopnie poniżej zera. Czekamy na naszych kurdyjskich towarzyszy, którzy punktualnością nie grzeszą. W Alpach, gdzie trzeba wyruszyć przed świtem w trzaskającym mrozie, nie



Bulwar w Amasya, fot. M. Nowak

byłoby z nich pożytku. Nareszcie wspinamy się w świetle czołówek coraz bardziej stromym i kruchym piargiem, którego kamienie zespała słaby lód, żeby o świcie osiągnąć granicę wiecznego śniegu. Tu zakładamy raki. Wschodzące zza Araratu słońce rzuca w dolinę Dogubayazid cień wielkiej góry. Podziwiamy to zjawisko, jak przed kilku laty w obozie I na drodze Polaków pod Aconcagua. Znowu przychodzą do głowy słowa piosenki Budki Suflera, która poświęcona była tragicznej śmierci Zbigniewa Stepka w Himalajach Lahul.

W rakach i z kijkami w dłoniach wspinamy się stromymi zboczami (do 40 stopni) do grani, która ogranicza lodowiec Parrota i Zachodnie Plateau. To dwa historyczne miejsca. Nazwa Lodowca Parrota pochodzi od nazwiska pierwszego zdobywcy Araratu – niemieckiego

profesora filozofii na Uniwersytecie w Tartu (Estonia) – Friedricha Parrota, który wraz z Ormianinem Khachaturem Abovianem – poetą i twórcą nowożytnej literatury ormiańskiej, zdobyli wierzchołek 9 października 1829 roku. Była to ich trzecia próba zdobycia szczytu. Swoją wspinaczkę północnymi stokami Araratu rozpoczęli w Klasztorze świętego Jakuba w wiosce Agori. Abovian i Parrot zdobyli także Mały Ararat, a Abovian stanął na szczycie Wielkiego Araratu jeszcze dwukrotnie: w 1845 roku z niemieckim mineralogiem – Otto von Abich i rok później z Anglikiem Henry Seymorem. Abovian był prawdopodobnie ostatnim człowiekiem z nizin, który widział klasztor św. Jakuba i wioskę Agori przed ich zagładą, która miała miejsce w 1840 roku podczas trzęsienia ziemi. W roku 1848 Abovian w wieku 39 lat zaginął w tajemni-

czych okolicznościach, być może w górach, które stały się dla niego prawdziwą pasją. Czyżby była to zemsta świętej góry na człowieku, który jako pierwszy postawił na niej stopę? Przypomina się historia zdobycia Nanda Devi East (7434 m n.p.m.) w 1939 roku przez pierwszą polską wyprawę w Himalaje. Na wierzchołku stanęli Jakub Bujak i Janusz Klarner, ale dwaj inni uczestnicy wyprawy: Stefan Bernadzikiewicz i Adam Karpiński zginęli w lawinie, stając się pierwszymi ofiarami fatum nazwanego później „kłątą Nandy”. Jakub Bujak i Janusz Klarner zaginęli kilka lat później w niewyjaśnionych okolicznościach.

Fotografowali: Małgorzata Truskowska, Michał Drożdż, Paweł Krawczyk, Mariusz Nowak i Piotr Paprzycki

C.D.N.



Freski w klasztorze Sumela, fot. M. Truskowska